

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

SZEŚĆ GODZIN

11

Powieść.

Czyż koniecznie leśniczego chciało zamordować? Przecież jasny Piotr mógł być królem, rycerzem, lub nawet zwykłym gajowym.

Wszak dzieje ludzkie, tak nieraz podobne są do siebie.

Człowiek zabił człowieka i w tym leży ogrom prawdy. A kto, gdzie, kiedy i jak, — to przecież szczę gół już mniej ważne.

Ważne są o tyle dla tych, którzy ścigają zbrodnię, by wypłenić ją ze świata i może ważne są...

...I może czasem ważne są, gdy niemi jak kroplami ognia żywego wypalić można zły ból aż do dna, aż do niezawodnej, wierzącej samej sobie tylko prawdy.

(Na zamarte serce pani ściekały gorące, jak ogień, załapanie uszy, jakby chciwemi męki w tej chwili, słowa obcego.)

Daniel milczał i nie bronił się.

Trwał w uporze. Zaprzeczał wszystkiemu, lub milczał.

Doniesiono mu, że ojciec chce się go wyrzec. Na chwilę ogniem zapłonęły mu lica i oczy cisnęły płomienie. Ale wnet potem zgasł i pochylał głowę.

To wszystko brano pod uwagę i siłą jakiejś przedziwnej logiki, czy zapatrzenia się w cel śledztwa mającego udowodnić zbrodnię złapanemu mordercy, wszystko zapisywano przeciwko niemu.

Czuł to i milczał, chętnie wracając ze sali śledztwa do swej celi.

Ale Daniel był młodym i zdrowym, mimo innych o nim poglądów. Nieprędko chciał się poddać, niełatwo z życia zrezygnować.

Słowami się bronić nie umiał.

Jeśli ojciec własny wierzył w jego winę, — jeśli Anna, ta jasna pani, nie umiała temu nie wierzyć, dlaczegoby żandarmerja wierzyć nie miała. I to żandarmerja zaborcy deprawującego kraj, której wszak wszystko jedno było kogo powiesić, byleby powiesić.

A zresztą, gdyby Daniel nawet kogoś wskazał jako podejrzanego, jakim cudem on, za krótkimi, mógł spodziewać się wiary i skutku swej skargi, tembardziej, że podejrzenie rzuciłby tylko, a nie dowody.

Nie protestował zatem i w skupieniu dumiał nad czemś w swej celi.

Aż oto pewnego dnia, na tydzień, a może na dwa przed ostateczną rozprawą, nie zastano go w celi. Uciekł i przepadł jak kamień w wodzie.

Nie pomogły żadne poszukiwania i pościgi, — żadne oblawy.

Pewien niski i krępy człowiek, który miał dobre, zawsze uśmiechnięte lica i żółtawe oczy, grube pieniądze wydał na to, by schwytano uciekiniera, mordercę jego przyjaciela z polany.

Wszystko na darmo. Odkryło tylko znikome ślady, że Daniel uciekał za granicę.

(Serce pani znowu powoli bić poczęło.

Na jej bladej jak płatki lilji twarzy, wystąpił słabuchny podskórny rumieniec.

W pewnej chwili zdawało się, jakby odetchnęła z ulgą.

Ale może właśnie pod ciężarem jakimś pierś jej floczącym westchnęła.

Oczy wciąż jeszcze nie otwierała, jakby bała się, że nie tylko usłyszy, ale zobaczy nagle słowa obcego, a wtedy, wtedy, — możeby serce na zawsze zamarło.

Tymczasem za storą wciąż czekała luna i ciśnie tej groźnej nocy tuliła się do ścian.)

* * *

Daniel uciekł zagranicę, do innego kraju i podobno zmienił nazwisko, czyli podał się za kogo innego.

Począł (też podobno) szukać rozwiązania tych splótów losu i zdarzeń, które go tak brutalnie wyrzuciły ze środowiska ukochanego.

Łatwo jest dopowiedzieć tę dalszą część jego dziejów.

Uciekł z więzienia i był ściganym. Był bez środków do życia. Znalazł się w obcym kraju, więc tembardziej był na skraju nędzy.

Jako młody i jako ten, który zdecydował się walczyć z losem, wziął się do jakiegoś zajęcia, dostępnego dla niego w tych warunkach.

Nosił cegły przy budowach, багаż na dworcach kolejowych, w portach ładował na okręty, na drogach kamienie fluki, może drwa w ludzkich chatkach pilował, lub karczował lasy, orał, siał, pasał bydło, — dość że jakoś żył.

Pewnie też męcząc się nad rozwiązaniem wspomnianych splótów, począł szukać pomocy w tem w książkach. Chociaż kiedyś zaczęły go one, ale równocześnie i myśleć nauczyły.

Może się dorwał do zupełnie innych, aniżeli tamte, może włócząc się po świecie, tu i tam natknął się na jakąś szkołę, na jakieś wykłady, — dość, że powrócił do książek, dzieląc czas swej tułaczki pomiędzy ciężką pracę fizyczną na chleb i ciężką pracę umysłową na wydobycie się i zbudowanie siebie samego.

— Ale to krótkie spięcie życia między dworem a leśnicówką i tam wywołało swoje następstwa.

Siwy pan (teraz się okazuje jak doskonale mógłby też być królem, czy wojewodą, albo małym gospodarzem, a nie tylko zamożnym dzie dżicem) — zamilkł, pochylał się ku ziemi, zdając rzady nad wszystkim, nawet nad sobą, tamtemu krępemu człowiekowi.

Siwy pan tylko jedną pracę, ale to była praca najtrudniejsza, pozostawił sobie. Niktby jej zresztą nie mógł za niego wykonać. Oto grzebał w sobie, w swem kilkudziesięcioletnim sercu i umyśle, — rodzonego syna. Grzebał uparcie, codziennie, nasypując nań takie góry honoru i hańby, życia i jego bezcelowości, że pod niemi i on sam coraz się bardziej chylił ku grobowi.

Pozostał jednak na placu on, ten krępy, niski człowiek, dość słusznie może mistrzem nazwany. Przecież mistrzem okazywał się pewnego rodzaju życia.

W jego dawnych półśłówkach i dzisiejszych pełnych czynach zawierała teoria, o panowaniu siły, świeciła narazie tryumf zupełny.

Był faktycznym panem dworu i jego pół. — (a gdyby siwy pan był królem, natenczas mistrz rządziłby krajem)

I oto pod jego tak wprawną i niezawodną ręką, poczęło się wszystko zmieniać. Zaczynając od uprawy pola, a kończąc na duszach chłopskich, po chatkach kołatających się.

Żółtawe oczy niskiego człowieka przestały się śmiać raz na zawsze, a coraz częściej poczęły w nich błyskać ostrza sztyletów i nakazów.

Kluci niemi i smagani chłopcy przemienili się z wolna w milczących niewolników chleba, pracą w te dni zleniawioną, wyciskając z ziemi wszystkie soki.

Przed jedną osobą tylko kryły się ostre błyski w żółtych oczach, poza szklane łęczówki. — Przed jasną panią, mianowicie.

Po śmierci Piotra, została ona w leśnicówce, niechęć widocznie zmieniać otoczenia.

Smutną była i poza lasem, a domem, nigdzie nie pokazywała się. Żyła samotna w pustym domu, o którym powoli legendy poczęły się tworzyć wśród okolicznego ludu, aż do tych wypadków pozbawionego żywszych, sensacyjniejszych tematów do opowieści.

Pani po mężu odziedziczyła duży majątek, tak jak się to dzieje zresztą zawsze, gdy mąż niema blizkiej rodziny.

Raz na jakiś czas przyjeżdżał do niej jej plenipotent i na tem się kończyło jej zajęcie materialne.

Ona sama raz jeden, czy dwa razy, wyjeżdżała na kilka dni. Podobno odwiedzała swoją siostrę Marję, która rosła tymczasem na urodziwą dziewczynkę, nic nie wiedząc o istotnych zdarzeniach w domu siostry. Powiedziano jej poprostu, że szwagier Piotr umarł.

Ach tak, — jasna pani na pewno dwa razy wyjeżdżała, bo raz jeździła sama, a drugi raz towarzyszył jej on, ten niski człowiek.

O, on był dla Anny bardzo dobrym. Jak umiał, tak pomagał jej zapomnieć o jej jasnym mężu.

We wszystkim naturalnie świecił pamięć zmarłego, ale twierdził uparcie, że umarłym spokój i wieczne odpoczywanie, a żywym życie się należy.

Pani męczyła się bardzo. Nie mogła przez długi czas pojąć, jak ten młodzieńcy Daniel, jak rodzony bratko, mógł taką zbrodnię popełnić.

Niski człowiek tłumaczył jej jak umiał. Uśmiechając się najsmutniej, ze współczuciem i szepem prawil o oblakaniu Daniela. Twierdził nawet, że może sąd byłby go uwolnił jako nieodpowiedzialnego za czyny, gdyby nie to, że on sam uciekł.

Jasna pani ołówką kiwała i kręciła, ale cóż miała robić. Głos niskiego człowieka był tak współczujący, smutek jego i zajęcie się wierne jej dęła, tak przekonujące, że nawet ona, jasna pani ustępowała mu powoli.

Przecież ona żyła a w tyciu jest czas, a w tym czasie on jeden chciał i potrafił w jedostajny smutek wnieść trochę ożywienia i inności.

Godzinami całemi rozmawiał o świecie i człowieku. Godzinami całemi przepajał ją dźwięną, zdobywającą serce filozofją. Umiał się zawsze w porę powołać na jej i na swoją samotność i na serce co tęskni do miłości.

Słowem, pan była jasna i nie umiała nie wierzyć, — a zresztą on umiał ludzi opętywać.

— Nagle, pewnego dnia, (takie rzeczy zawsze nagle się stają) gruchnęła wieść, że wybuchła wojna.

Ludzi trwoga opętała, z daleka brzmiały harmony, wojska te i tamte przejeżdżały przez najcichszy ten w świecie zakątek, — pobrano mężczyzn w rekruty, rabowano podwozy, — w przeciągu kilku miesięcy wyszarpano wszystko co było ciche i spokojne, do góry nogami przewrócono całe życie.

Niski człowiek potrafił się ostać przed falą. Ale w polu baby orały i sprzątały, a miast koni, wozy krowy ciągnęły.

Nagle, olbrzymie wypadki wojny, coraz to gdzieindziej umieszczając środek kuli ziemskiej, ogromną rewolucją życia, topiąc w morzu ogółu poszczególne jednostki i ich małe nieszczęścia, zeknęły znowu małą leśnicówkę z dworem.

Mówiono o jakimś powstaniu, o dobywaniu wolności. Siwy pan był starym partyzantem i te wieści zelektryzowały go. Losy narodu przysłoniły mu oczy na własne nieszczęście, jakby odmłodniał. Porzął się nawet żartobliwie odgazyć, że, nie mając nic do stracenia, nawet życia, wciągnie się do powstańców, jak tylko „tu“ nadejdą.

Mniejsza o to, których powstańców miał na myśli. Sama ta myśl bowiem, jak bardzo znamięnna była u niego (i czy tylko u niego).

Ta atmosfera wojny i nowego zainteresowania, pozwalająca im wszystkim, t. zn. Annie i siwemu panu, zapomnieć powoli, o rozdarciu tamtym piorunem życia.

Przyjeżdżała jasna pani do siwego pana i w trójkę (rzadko kiedy obeszło się bez niskiego człowieka) omawiali dnie i wypadki, tego spodziewali się, a tamto odzegnawali znakiem krzyża i modlitwą.

Ale pewnego dnia jasna pani nie przyjechała. Siwy pan zaniepokoił się, ale nie miał kto do wiedzieć się o powód jej nieobecności, bo niski człowiek na dwa dni wyjechał do miasteczka.

Na drugi dzień rano Anna przyszła piechotą do dworu. Była jakaś niespokojna i oczy jej płonęły. Na wstępie zapytała odrazu, czy jest niski człowiek. A gdy się dowiedziała, że go niema, odechnęła z ulgą.

Siwy pan mocno zaciekawiony, co się stało nowego, co aż tak podnieciło ją, zasypywał jasną panią pytaniami.

Położyła palec na usta i zamknęła się z nim sam na sam w pokoju.

Długo, może godzinę, a może dwie, rozmawiali ze sobą cicho, zamknawszy się na klucz.

Stary sługa pod drzwiami słyszał szybkie kroki starszka i jego okrzyki i przeraził się, że to pewnie powstańcy już idą, a siwy pan do nich się wybiera, ale właściwej treści rozmowy dowiedział się dopiero później w dwa, czy trzy dni potem.

Jasna pani, wychodząc z pokoju, jakiś list schowała za stanik na piersi i prędko oddaliła się do lasu.

Siwy pan trząsł się cały, na jego pergaminowej, pomarszczonej twarzy zakwitły bodaj ostatnie rumieńce, biegał żywym, drobnym kroczkiem z kąta w kąt, ale prócz tego, że jakby wesoło tu i tam rzucił słowo jakieś, nikt się niczego od niego nie dowiedział.

(Ciąg dalszy nastąpi.)